

DAGMAR BACH

CYNAMON

*chłopaki
i ja*

PODWÓJNE ŻYCIE
VICTORII KING

Tłumaczyła
Anna Urban



Media Rodzina

Prolog



Jeszcze przed chwilą byłam w damskiej szatni na basenie i usiłowałam rozczesać mokre i splątane włosy.

Zaraz potem zapachniało babeczkami cynamonowymi i nagle znalazłam się tutaj, w pomieszczeniu, które mogło być jakimś biurem albo poczekalnią i które widziałam po raz pierwszy w życiu.

Nie planowałam się tu pojawić.

Nie wiedziałam, dlaczego tak się stało.

I z jakiego powodu przytrafiło się to akurat mnie.

Zaczęłam liczyć w myślach i doszłam do pięciu.

Potem z powrotem stałam w damskiej szatni z grzebieniem w dłoni i uciskiem w żołądku.

Znowu.

Po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Jedenasty w ostatnim kwartale.

I jakiś dwudziesty ósmy od moich dwunastych urodzin.

I, co najgorsze, nie miałam bladego pojęcia, kiedy znów się to stanie...

Nazywam się Victoria King. Mam prawie piętnaście lat, chodzę do dziewiątej klasy prywatnej szkoły Świętej Anny i mam pewną kłopotliwą przypadłość... A mianowicie czasem znikam z jednego miejsca, by sekundę później pojawić się w innym. Ot tak, bez ostrzeżenia. I oczywiście w najmniej odpowiednim momencie.

Moja przyjaciółka Pauline ma na ten temat szereg teorii opracowanych z analityczną dokładnością (w przyszłości pragnie zostać znaną badaczką). Na przykład takich:

1) Wcale nie znikam, tylko zapadam w sekundowy sen i śnię.

To byłoby całkiem logiczne, problem w tym, że na pewno nie śnię, bo zawsze, kiedy to się dzieje, jestem przytomna i rześka jak poranek. Po burzy.

2) Nie znikam, tylko śnię na jawie. Nie zamykając oczu. Na pewno nie! Chyba jestem wystarczająco inteligentna, żeby się zorientować, prawda? Poza tym sny na jawie miewam tylko podczas treningu pływackiego. I wyłącznie na temat jednego chłopaka, który odrobinę mi się podoba...

3) Nie znikam, tylko na chwilę tracę przytomność albo mam halucynacje.

Kazałam Pauline wykreślić tę teorię, bo gdyby była prawdziwa, oznaczałoby to, że cierpię na jakąś poważną chorobę. A to nieprawda. Jestem okazem zdrowia. Babcia zawsze powtarza, że jestem twarda jak gumiaki dziadka

(który dostał je od swojego dziadka. A ten był kumplem cesarza Wilhelma).

4) Nie znikam, tylko wymyśliłam tę historyjkę, żeby pokazać, jaka jestem ważna.

To akurat Pauline wpisała na listę tylko po to, żeby mnie powkurzać, bo była o coś na mnie wściekła. Oczywiście jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, a ona mi wierzy. Jako przyjaciółka nie ma chyba wyjścia.

5) Naprawdę znikam. I pojawiaam się w innym miejscu i w ciele innej osoby.

Ta teoria powstała wtedy, gdy powiedziałam Pauline, że któregoś razu (w restauracji eleganckiego hotelu) widziałam gazetę z datą — identyczną jak ta z naszej rzeczywistości. Od tego czasu Pauline obstaje przy tym, że znikając, przeskakuję do równoległego świata. Jednego ze światów, które są lustrzanym odbiciem naszego tyle że z mnóstwem różnic. I teraz, gdy wracam z raportem, zawsze ma na twarzy triumfalny uśmiezek i bredzi coś o fizyce (używając takich terminów jak teoria względności i mechanika kwantowa, cokolwiek miałyby one znaczyć).

Nie umiem powiedzieć, czy jej wierzę. Wiem, że moje znikanie — czy też skakanie do równoległych światów, niech będzie — wywróciło moje życie do góry nogami.

Ale może zacznę od początku.



Rozdział pierwszy

— I Mimi serio nie pisnęła ani słowa na temat tej odjechanej niespodzianki dla nas? — wierciłam mamie dziurę w brzuchu chyba już dwudziesty raz tego popołudnia.

Mama siedziała w wannie i za pomocą gigantycznej ilości piany upodabniała się do kreskówkowej Marge Simpson. A przynajmniej jej głowy.

— Serio, serio. Wtedy nie byłoby już niespodzianki, no nie? — odparła i dorobiła sobie jeszcze brodę z piany.

— Nie cierpię niespodzianek — poskarżyłam się.

Nie skłamałam. Słowo. Zawsze lubię wiedzieć, co mnie czeka. Staram się nawet wyciągnąć od wszystkich domowników, co dostanę pod choinkę, inaczej trudno udać spontaniczną radość z jakiegoś okropieństwa. A przy prezentach od dziadków człowiek musi się naprawdę postarać. (Wystarczy, że przywołam przykład trymera do włosów w nosie albo trzecią z kolei książkę o dojrzewaniu).

Za to mama jakoś nie ma z tym problemu. W przeciwieństwie do mnie z radością przyjmuje wszystko, co nowe.

— Mimi chce dobrze. Jak ją znam, to na pewno będzie coś bombowego. No i najlepsze jest to, że dotyczy nas obu, ciebie i mnie!

Mimi to przyjaciółka mamy jeszcze z czasów szkoły. Całe lata była zdeklarowaną singielką, nie przepuściła żadnej imprezie i systematycznie wypłakiwała się mamie w rękaw, kiedy nie wyszło jej z kolejnym facetem.

Aż zakochała się w Konradzie. Na zabój. Po czterech miesiącach urobiła go na tyle, że się jej oświadczył. Ani mnie, ani mamy jakoś to szczególnie nie martwi; w przeciwieństwie do rodziców Mimi, którzy uznali, że co nagle, to po diable. No dobra, jedyny zarzut, jaki można postawić Konradowi, to fakt, że jest zapalonym myśliwym — już to byłoby dla mnie kryterium dyskwalifikującym kandydata, niezależnie od tego, jaki byłby fantastyczny. Ale to w końcu nie nasz biznes, tylko Mimi.

W każdym razie dziś po południu wybieramy się na ich ślub. Wiadomo było, że zostaniemy zaproszone, chociaż mama i tak zawsze jest zapraszana, kiedy pobiera się ktoś z naszego miasteczka. A z braku męskiego towarzystwa (mama od lat jest wolna) zwykle zabiera ze sobą mnie.

— Kochanie, co powiesz na czerwoną w kropki? Albo zieloną z szarfą? Nie mogę się zdecydować! Kto wie, kogo los dziś postawi na naszej drodze? Co, jeśli nagle stanie przede mną facet moich marzeń, a ja będę miała na sobie jakąś okropnie nieudaną kreację? — biadoliliła, gestykułując tak energicznie, że wylewała wodę z wanny.

W ciągu ostatniej godziny przegarnęłam pół jej garderoby, podczas gdy ona w łazience robiła się na bóstwo. (W przeciwieństwie do niej ja nie potrzebowałam rady w kwestii stylówki na wieczór, bo mam tylko jedną wyjściową sukienkę. Komfortowo i pewnie czuję się jedynie w dżinsach i kolorowych bluzach z kapturem. A włosy sięgające podbródka noszę tak, jak się układają. Można więc śmiało powiedzieć, że nie mam fryzury, tylko włosy).

Jeśli chodzi o mamę, wybór ciuchów ciągnie się zwykle w nieskończoność. Pomyślałam więc, że przyszedł czas na delikatną sugestię.

— Włóż tę niebieską. Kapelusz, który do niej pasuje, jest najbardziej odjechany ze wszystkich.

Nie było w tym ani grama przesady. Mama jest jedną z nielicznych znanych mi kobiet, które noszą kapelusze. I w dodatku nie wygląda przy tym śmiesznie, tylko elegancko. Najchętniej nosi sukienki do kolan i kolorystycznie dobrane nakrycia głowy i uwielbia się stroić na takie okazje jak dzisiejsza. Naprawdę wygląda wtedy jak angielska lady, chociaż stanowczo zaprzecza, jakoby wzorowała się na księżnej Kate. Ja za to uważam, że spokojnie można by ją wziąć za siostrę księżnej Cambridge. Młodszą!

Mama nie tylko pasuje wizualnie do brytyjskiego typu urody, ale jest zagorzałą fanką wszystkiego, co choćby najogólniej wiąże się z Wielką Brytanią — ploteczki z pałacu Buckingham, ociekająca tłuszczem ryba z frytkami, herbatka o piątej po południu czy klasyczny krem cytrynowy

lemon curd — dopowiedzcie sobie resztę. Z miłości do brytyjskości kilka lat temu powstał w naszym domu angielski pensjonat typu *bed & breakfast*, a krem cytrynowy jest nieodłącznym elementem naszego śniadania, jak w innych domach nutella.

Kiedyś miała nawet pasującego do obrazka faceta — mój tata jest Anglikiem, z daleka wygląda jak Hugh Grant i wciąż mówi po niemiecku z absolutnie zachwycającym angielskim akcentem, choć mieszka tu już od dawna. Moi rodzice rozwiedli się, kiedy miałam kilka lat, i wciąż nie wiem dlaczego. Ale gdy zaczynamy rozmawiać o ojcu, mama zaraz robi się rozdrażniona i zmienia temat, chociaż nie są razem od wieków.

— Uwaga!

Za późno. Mama postanowiła się katapultować z wan-ny, przy okazji zalewając pół łazienki. Odskoczyłam, ratując przed zamoczeniem niebieski kapelusz, w którym mama zadawałaby szyku jak księżna Kate podczas chrzcin małej Charlotte.

— A może tym razem nałożyłabym ci troszeczkę makijażu? — spróbowała, owijając się ręcznikiem.

Ona się chyba nigdy nie podda.

— Pewnie. Zatykajmy moje nastoletnie pory. Sorry, mamó, ale wystarczy mi gigapryszcz, który czasem wychodzi na czole.

— To może bym ci chociaż uczesa...

— Mamó!

— Pomalowała paznokcie?

— MAMO!!!

— Dobrze, już dobrze — mruknęła, osuszając się po kąpieli.

Mama ciągle twierdzi, że powinnam nosić się bardziej dziewczęco, ale w tej kwestii jestem twarda. Podobam się sobie taka, jaka jestem.

I dlatego, gdy wyskakuje z tym tematem, ja zawsze próbuję zmienić kierunek naszej rozmowy.

— Mam nadzieję, że nie będzie tak nudno jak na ślubie Gitty i Henninga — jęknęłam, wzdrygając się na wspomnienie najbardziej koszmarnej imprezy wszech czasów, gdy odliczałyśmy minuty do powrotu do domu.

— Jeśli Mimi nie usadzi nas przy stoliku z jej ciotkami, jesteście bezpieczni! — powiedziała pełna optymizmu i wybebeszyła zawartość szuflady z biżuterią w poszukiwaniu wsuwek.

Właśnie, ciotki. Naprawdę nie uśmiechał mi się wieczór spędzony na przysłuchiwaniu się rozmowom o zaparciach i nietrzymaniu moczu.

Mama znalazła to, czego szukała.

— Zresztą, nie ma co krakać, bo jeszcze naprawdę wykraczemy — powiedziała energicznie, rozczesując włosy. — Kiedy Mimi i Konrad wymienią się dziś obrączkami, to... Aaaaaa! — wrzasnęła. — O Boże, obrączki!

— Nie mów, że zapomniałaś... — jęknęłam, ale sytuacja była jasna. (Mama bywa czasem nieco rozkojarzona).

— Jak mogłam o tym zapomnieć?! Gazu, ubieraj się, jedziemy do Rajmunda!

Rajmund Graf jest miejscowym jubilerem, od którego na prośbę Mimi mama miała odebrać obrączki już kilka tygodni temu, by dziś dostarczyć je do kościoła.

— Myślisz, że ma otwarte w sobotę po południu? — zapytałam nieśmiało.

— Musi! — Mama minęła mnie z prędkością tornada i już po pięciu minutach zwarta i gotowa stała w drzwiach wejściowych. — Idziesz czy nie?

By dotrzeć do sklepu Rajmunda, mama potrzebowała połowy czasu, w jakim dojechałby tam ktoś przestrzegający przepisów ruchu drogowego. Ale ponieważ była to sytuacja absolutnie i jednoznacznie wyjątkowa, myślę, że z sukcesem sprzedałaby każdemu policjantowi historię zapomnianych obrączek w sposób tak przekonujący, że wywinęłaby się bez mandatu. Ale na szczęście nikt nas nie zatrzymał i po raptem pięciu minutach zaparkowaliśmy pod sklepem jubilera.

Pech chciał, że wszystkie okna i drzwi zasłaniały grube kraty. Sklep był bez wątpienia zamknięty.

— Co za niefart — mruknęła mama. Nie byłaby sobą, gdyby na tym poprzestała. Wypadła z auta, chwyciła mnie i bojowo zakomunikowała: — Lecimy do Rajmunda. Mieszka w pobliżu i nie ma wyjścia, musi nam otworzyć.

W naszym miasteczku wszyscy się znają i nie jest tajemnicą, gdzie kto mieszka. I choć wcale nie uważam, żeby to akurat było czymś fantastycznym, to dziś uratowało nam życie.

Mama pociągnęła mnie w kierunku pobliskich szeregowców. Na jednej ze skrzynek widniał napis: „R. Graf”.

Bingo.

Mama nacisnęła na dzwonek jakieś pięć razy.

— Wiesz, że zwykle wystarczy raz? — zapytałam.

Mama bywa nadpobudliwa i muszę ją czasem stopować. (Nie zawsze z sukcesem).

Poderwała głowę, próbując wypatrzeć zza firanek gościa, od którego zależało powodzenie jej spóźnionej misji. Na próżno.

— Jak widać, nie wystarczy. — Dzwoniła dalej jak po ogień. Zmrużyła oczy. — Czy tobie też się wydaje, że firanka się poruszyła?

Przesunęłam się w stronę ulicy, żeby lepiej widzieć i — rzeczywiście! — za jednym z okien ktoś się chyba pojawił.

— Poczekaj, dorwę cię, zobaczysz — mruknęła mama, schyliła się po garść żwiru z podjazdu, by po chwili cisnąć kamyczkami w szybę na piętrze.

To, że nic nie stłukła, to prawdziwy cud. A narobiła przy tym tyle hałasu, że małżeństwo emerytów z parteru spuściło przezornie rolety. Prawdopodobnie staruszkowie wystraszyli się, że to gradobicie.

Mama miała gdzieś emerytów i szyby.

— Widzę cię, Rajmundzie, więc otwieraj, z łaski swojej! — wydarła się na całą ulicę.

Kiedy schyliła się po kolejną garść żwiru, okno na piętrze magicznie się otworzyło, ukazując wściekłego pana Grafa. Nie miał na sobie nieodłącznej brązowej tweedowej marynarki, tylko biały podkoszulek bez rękawów, co zupełnie nie pasowało do jego utrwalonego wizerunku małomiasteczkowego jubilera.

— Meg, czyś ty oszalała? — fuknął.

— Zapomniałam na śmierć o obrączkach Mimi! Musisz otworzyć sklep!

— Dlatego próbujesz powybijać mi szyby? Chyba upadłaś na głowę!

— Przywiozę ci kawałek tortu weselnego.

— Po pierwsze, jestem po pracy, po drugie, chciałbym w spokoju obejrzeć mecz piłki nożnej i po trzecie: nie cierpię tortów!

— Dobrze, cofam — nie dostaniesz tortu. Zapraszam za to jutro do nas na śniadanie!

— Ha! Śniadanie, dobre sobie! Chyba nie myślisz, że będę jechał taki kawał tylko po to, żeby się u was pożywić. Wysil się trochę.

Mama postanowiła wspiąć się na wyżyny negocjacji i wypaliła:

— Kiedy następnym razem twoja ciotka przyjedzie w odwiedziny, może spać u nas w pensjonacie. Będziesz miał ją z głowy.

Rajmund, który w zasadzie zamierzał zatrzaskać okno, zamarł i się zawahał.

— Jak długo? — zawołał.

— To znaczy? — zdziwiła się mama.

— Jak długo może u was zostać?

Na twarzy mamy wykwitł triumfalny uśmiech. Nie ma to jak siła odpowiedniego argumentu.

— Powiedzmy... tydzień?

Rajmund podrapał się po brodzie, którą porastał bujny zarost (co ciekawe, im dłużej na niego patrzyłam, tym bardziej ten zarost pasował do podkoszulka), mruknął coś pod nosem i zamknął okno.

Przez krótką chwilę mama i ja byliśmy bliskie zwątpienia, ale na szczęście wkrótce w drzwiach ukazał się pan Graf w białym podkoszulku, liliowych spodniach od dresu i klapkach, dzierżąc w dłoni klucze do sklepu. Obezwładniająca ulga pchnęła mamę na krótko w ramiona jubilera (na co ten zaczerwienił się jak piwonია).

— Robię to wyłącznie z powodu tej jędzy, słyszysz? Jeszcze pożałujesz, kiedy ją poznasz — mamrotał w drodze do sklepu.

— Bardzo możliwe — zaćwierkała mama, podskakując koło niego jak sześciolatka. — Ale na pewno nie dziś. Dziś ratujesz mi życie.

Rajmund coś odburknął, starając się wyglądać na rozłoszczonego, ale widziałam, że zadrżały mu kąciki ust,

gdy mama zapiszczała z radości, odbierając upragnioną paczuszkę.

Na nią po prostu nie można się gniewać.

A kiedy w podziękowaniu dała mu jeszcze całusa w policzek, znów się zaczerwienił.

— Świetnie nam poszło! — Mama odetchnęła z ulgą, gdy udało nam się na czas dotrzeć do kościoła i przekazać obrączki świadkowi. — Teraz możemy się wyluzować. Mam przeczucie, że to będzie fantastyczny wieczór. Jeśli ktoś wie, jak powinna wyglądać dobra impreza, to tylko Mimi. Postarajmy się świetnie bawić i niczego sobie nie żałować!

Zajmując miejsca w kościelnej ławie, nie miałyśmy jeszcze pojęcia, że niestety nie będziemy się dobrze bawić. Całkiem możliwe, że gdybyśmy zmyły się przed imprezą, uniknęłybyśmy tortur, które nas czekały.